

Jacek Ostrowski



JanKa

UT

UT

Jacek Ostrowski
UT

Copyright © Jacek Ostrowski 2012
Copyright © wydawnictwo JanKa 2012
Wydanie I
Pruszków 2012
ISBN 978-83-62247-19-6

Luiza? Zastanowił się. Może to i była Luiza, kto by to pamiętał. Tyle ich przewinęło się przez te lata.

– Pamiętam.

– Wyjechałeś bez pożegnania.

W głosie kobiety wyczuł pretensję.

– Nie lubię pożegnań.

– Pośpieszyłeś się i nie zdążyłam powiedzieć ci czegoś ważnego.

– Nie szkodzi. – Zaśmiał się ironicznie. – Teraz to już nieistotne.

– Mylisz się, teraz to jest bardzo istotne.

– Co może być istotnego po dwudziestu latach?

Rozmowa zaczęła go już drażnić. Ciągle dzwoniły do niego jakieś byłe dziewczyny, wciąż miały jakieś pretensje, przywykły do tego. Jednak pretensje dotyczące przelotnego romansu sprzed dwudziestu lat to już duża przesada, jeśli nie paranoja.

– Córka.

Usłyszał jedno słowo i nagle wszystko mu zawirowało przed oczyma. Nie miał dzieci, nigdy żadna kobieta nie próbowała wrobić go w dzieciaka z tego prostego powodu, że podwiązał sobie nasieniowody. Nie chciał problemów, nie chciał wrzeszczących bachorów. Prowadził wygodne życie i tak było dobrze. Myślami cofnął się wiele lat. Faktycznie, dopiero po powrocie z Panamy poszedł na operację. Wcześniej nie wykonywali takich zabiegów. Cholera, faktycznie może mieć córkę, to jest realne.

– Ale czemu dopiero teraz mi o tym mówisz? – szepnął do słuchawki.

– Skoro uciekłeś, to sama ją wychowałam. Zaraz wyślę ci ememes z jej zdjęciem. Jest do ciebie podobna.

Poczuł, że ma wilgotną twarz, więc drugą ręką chwycił ze stolika chusteczkę i otarł pot.

– Czego chcesz? Pieniądzy? Jeśli pieniędzy, to się spóźniłaś.

– Nie.

– To czego?

– Nerki.

– Czego?

Zatkało go z wrażenia. Czego jak czego, ale nerki jeszcze nikt

nie chciał od niego. Nie jest dawcą organów, a w każdym razie jeszcze nie.

– Nerki. – Głos kobiety co chwila przerywał głośny płacz. – Twoja córka potrzebuje nerki, a ja nie mogę być dawcą, więc ty zostałeś i to będzie jeszcze jeden dowód na to, że jesteś jej ojcem.

– Dowód? Jaki dowód?

– Tak. Jeśli matka nie może być dawcą, to pozostaje ojciec.

– Co mnie obchodzi twoja córka? – Podniósł głos. – Ja nie mam córki. Skąd wzięłaś numer mojego telefonu?

– To nasza córka. Numer telefonu dał mi twój znajomy.

– Jaki znajomy, do cholery? Skąd znasz moich znajomych?

– Spotkałam go w szpitalu w Los Angeles. Szłam z Marią korytarzem i on ją zobaczył. Zapytał mnie, czy córka nie jest krewną Egona Funka.

– Myślisz, że uwierzę? – Zaśmiał się. Coś dziwnie wyglądała ta opowieść o córce.

– Powiedział mi, że mam tobie przesłać od niego pozdrowienia.

– Kto to był?

– Nie wiem, nie przedstawił się. Mówił, że teraz przeklinasz dzień, w którym go poznałeś.

– Co?

Telefon o mało mu nie wyleciał z dłoni. Mężczyzna poczuł, że blednie.

– Przeinaczyłam coś? – usłyszał w słuchawce.

– Nie – szepnął i wyłączył telefon. Położył aparat na stoliku. Czuł drżenie ręki.

– Proszę pana – usłyszał jak przez mgłę głos kelnera. – Może coś podać?

– Tak, wódkę – wykrztusił z trudem.

Patrzył na leżący przed nim telefon. Nagle rozbłysł wyświetlacz, przyszedł ememes.

Funk wpatrywał się w aparat jak urzeczony. Kiedy kelner przyniósł kieliszek, jak automat chwycił go i jednym haustem opróżnił. Nawet się nie skrzywił.

– Jeszcze jeden.

Cały czas nie spuszczał wzroku z aparatu. Z jednej strony, rozmyślał, co go obchodzi jakaś tam dziewczyna w Panamie. Co z tego, że jest chora? Mało to chorych ludzi na świecie. Sam jest chory, wprawdzie niegroźnie, ale jest. Córka? No i co z tego? Gdyby nie przewiązał sobie nasieniowodów, miałby ich na pęczki, na pęczki miałby kłopotów, płacenia alimentów, kretyńskich wywiadówek i telefonów od niemogących sobie poradzić z córkami matek. Zobaczyć czy nie? W gruncie rzeczy to nic nie kosztuje. Może zobaczyć, chociażby ze zwykłej ludzkiej ciekawości.

Powoli wyciągnął rękę po aparat. Nagle ktoś chwycił go za dłoń. Z boku stał Raul Gomes, ubrany w długi czarny płaszcz. Jego mina nie wróżyła nic dobrego. Bezceremonialnie rozsiadł się na krześle obok.

– Telefon? – spytał lodowatym głosem. – To przecież wbrew umowie.

– Przepraszam. Zapomniałem – wydukał zmieszany Funk. Był wściekły, że tamten go nakrył jak belfer uczniaka na paleniu papierosów w szkolnej ubikacji.

– Niedobrze. – Gomes skrzywił się, jakby wypił szklankę octu. – Sprawiasz problemy, wiesz, czym to grozi?

– Wiem, wiem, przepraszam – bąknął Funk, ale widać było, że przyszło mu to z wielkim trudem.

Raul wziął aparat i zamierzał schować go do kieszeni.

– Poczekaj! – Funk chwycił go za ramię.

– Tak? – Hiszpan podniósł brwi ze zdziwienia. – O co chodzi?

– Pozwól mi zobaczyć ememes.

– Chyba żartujesz? – zachnął się Gomes. – Dlaczego mam ci na to pozwolić? Złamałeś umowę, ciesz się, że nie wypadłeś z gry.

– Proszę. – Funk nie ustępował. Patrzył na Gomesa błagalnym wzrokiem, silnie ścisnął jego ramię. – Proszę!

– Nie!

– Sam dałeś jej numer mojego telefonu – Egon podniósł głos – a teraz nie zgadzasz się?

– Owszem. – Raul skinął głową. – To było trzy miesiące temu. Trzy miesiące ta kobieta wzdragała się przed telefonem do drania

będącego ojcem jej córki. Trzy długie miesiące szukała innego rozwiązania. To jest dzielna kobieta.

Egon zbladł i puścił ramię Gomesa. Jednak zaraz ponownie je chwycił.

– Proszę – szepnął. – Więcej cię nie zawiodę. Daj mi spojrzeć na to zdjęcie. To moja jedyna prośba.

– Co, przypływ ojcowskich uczuć? – Raul zaśmiał się ironicznie, po czym bez słowa podał mu telefon.

Funk chwycił go kurczowo, wcisnął jeden z klawiszy i zbliżył twarz do wyświetlacza.

– Boże, jaka podobna do mojej mamy – szepnął.

W tym momencie Gomes bezceremonialnie wyrwał mu aparat z dłoni i schował do kieszeni.

– Wystarczy! – krzyknął.

Egon nic nie odpowiedział, ale jego wzrok zdradzał wszystko. Gdyby mógł, to zabiłby tego hiszpańskiego palanta, wgniótłby go butem w ziemię jak nędznego robaka. Raul musiał bez trudu rozszyfrować jego myśli, szyderczo zaśmiał mu się w twarz i nachylił w jego kierunku.

– Marzenia ściętej głowy – szepnął.

Wstał i bez słowa wyszedł z lokalu.

Funk wypił następną wódkę. Wciąż miał przed oczami zdjęcie uśmiechniętej młodej dziewczyny. Ładna była i co najważniejsze podobna do jego rodziny. Nie mógł jej się wyprzeć, to na pewno była jego córka. Nigdy dotąd nie zastanawiał się nad tym, że może mieć dziecko. Nie wiedział, czy to, co czuł w tym momencie, to typowe ojcowskie uczucie, bo i skąd to mógł wiedzieć? Jego kole-dzy, owszem, mają dzieciaki, ale znając jego nastawienie do sprawy, nigdy o nich przy nim nie rozmawiali. Ciekawe uczucie i takie dziwne. Pierwszy raz od wielu lat zaczął myśleć o kimś inaczej.

Cmentarz w Pietrasancie to był prawdziwy przewodnik po historii miasteczka. Tu, na placu ogrodzonym starym ceglanym murem, wśród potężnych starych cyprysów i jałowców spoczy-

wało wiele pokoleń jego mieszkańców. Na teren nekropolii wchodziło się przez piękną, choć już mocno zniszczoną kutą bramę, umocowaną na dwóch potężnych filarach, połączonych kamiennym łukiem, przypominającym słynne rzymskie łuki triumfalne. Wprawdzie trudno było nazwać triumfem przekraczanie cmentarnych bram, chyba że triumfem śmierci nad życiem, ale taka była inwencja twórcza budowniczego. Julita stała przy dużej płycie wykonanej z różowego marmuru. W rękę trzymała małą wiązanekę czerwonych róż. Zawahała się chwilę, jakby nie wiedziała, gdzie ją położyć.

– Najlepiej przy tablicy – usłyszała zza pleców. Mocno wystraszona, raptownie się odwróciła. Przed nią stał Raul Gomes i uśmiechał się życzliwie.

– Co pan tu robi?

– Też mam tu kilka grobów do odwiedzenia – odparł.

– Pan? – Nie kryła zdziwienia. – Chyba pan żartuje?

– Nie – zaprzeczył energicznie. – Na tym cmentarzu leży wielu moich znajomych, ale nawet nie wiem, gdzie są niektóre groby. Stare podupały, a nowych wciąż przybywa w zastraszającym tempie. Nekropolia się wciąż rozrasta i łatwo się zgubić w tym labiryncie mogił.

– Nie pamięta pan położenia grobów?

– Nieczęsto uczestniczę w ostatnim pożegnaniu.

– Nie lubi pan pogrzebów?

– A kto lubi? Ale nie w tym rzecz, często podróżuję, rzadko jestem w Pietrasancie.

– Niech pan poda jakieś nazwiska, może ja ich znałam? To nie jest duże miasto, moja rodzina mieszka tu od wielu lat. Dziwne, że pana do tej pory nie spotkałam.

Spoglądała na Raula z zainteresowaniem; dziś nie przerażał, był normalnym i do tego bardzo interesującym mężczyzną. Ubrany w biały podkoszulek z małym napisem *Nike* i mocno wytarte dżin-sy, wciąż uśmiechał się do niej, wyluzowany.

– Nie sądzę. – Pokręcił głową. – To stare dzieje. Dawno odeszli.

– Oj, chyba pan przesadza. Nie jest pan dużo ode mnie starszy.

Projekt okładki:
Anna M. Koźbiel, Adam Walas

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-62247-19-6

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
www.jankawydawnictwo.pl
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl